

IWONA KIENZLER

LIRA  
WYDAWNICTWO

# GOMUŁKA

## I JEGO ORTALIONOWY PRL





**GOMUŁKA**



IWONA KIENZLER

**GOMUŁKA**  
**I JEGO ORTALIONOWY PRL**

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2025

Konsultacja: Sylwia Łapka-Gołębiowska  
Redaktor prowadząca: Ewa Kubiak  
Redakcja: Ewa Popielarz  
Korekta: Monika Simińska, Ewa Popielarz  
Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik-Zienkiewicz  
Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz  
Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska  
Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: pl.123rf.com – yasnaten; stock.adobe.com – terex; commons.wikimedia.org – Grzegorz Bąk (okładka), s. 102 (Collectie Fotocollectie Afdrukken ANEFO Rousel), 152, 186, 222, 254; Archiwum Akt Nowych – s. 12; Narodowe Archiwum Cyfrowe – s. 62  
Zdjęcie autorki: © Maciej Zienkiewicz Photography




Producenci wydawniczy: Magdalena Wójcik-Zienkiewicz, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

**L i R A**  
W Y D A W N I C T W O

Lira Publishing Sp. z o.o.  
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa  
www.wydawnictwolira.pl

Wydanie pierwsze  
Warszawa 2025  
ISBN: 978-83-68342-03-1

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

Druk i oprawa: Partner Poligrafia Andrzej Kardasz

# WSTĘP

Wprowadzie we wszystkich państwach dawnego bloku wschodniego, uparcie nazywanych krajami demokracji ludowej, władza teoretycznie opierała się na zasadach demokratycznych, a jej przedstawiciele byli wybierani w — także teoretycznie — wolnych wyborach, lecz w rzeczywistości rządy sprawowali gensekowie. Tak zwano sekretarzy generalnych stojących na czele komunistycznej partii dominującej, a najczęściej jedynej legalnie funkcjonującej w danym państwie. W przypadku naszego kraju była to Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR), powstała z połączenia Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) i Polskiej Partii Robotniczej (PPR). Nierzadko zdarzało się, tak jak w przypadku Wojciecha Jaruzelskiego, że partyjny przywódca łączył w sobie kilka innych ważnych państwowych funkcji — był premierem, ministrem obrony narodowej, a z czasem także przewodniczącym Rady Państwa i prezydentem. Podobna sytuacja miała miejsce na Kubie, gdzie Fidel Castro, stojąc na czele partii, sprawował jednocześnie urząd premiera i prezydenta. Z reguły jednak

partyjni przywódcy nie bawili się w takie ceregiele, bo i tak byli najważniejszymi ludźmi w państwie. To oni decydowali o składzie kolejnych rządów i o tym, kto zostanie premierem, a kto otrzyma dane ministerstwo. Co więcej, formacja, którą przyszło im kierować, sprawowała całkowitą kontrolę nad polityką wewnętrzną i zagraniczną kraju, administracją, sferą ekonomiczną oraz oficjalnymi przejawami życia społecznego.

Z całą pewnością polscy gensekowie, a było ich w sumie siedmiu, posiadali znacznie większą władzę niż wszyscy przedwojenni i powojenni prezydenci Polski razem wzięci, chociaż formalnie żaden z nich nie był nawet głową państwa. Nie obierano ich jak prezydentów w wyborach powszechnych czy parlamentarnych. Żaden z nich nie został też wybrany w wyborach organizowanych wewnątrz partii, ale przez Komitet Centralny, w dodatku w okresach pomiędzy partyjnymi zjazdami. Pomimo że zapisy ustawy zasadniczej nie udzielały im takich prerogatyw, to właśnie oni byli najważniejszymi osobami w państwie, im też przysługiwało miano przywódców danego kraju. Ta zupełnie niespotykana w zachodniej demokracji sytuacja wywoływała niekiedy spore problemy natury dyplomatycznej. Kiedy w 1974 roku ówczesny I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (KC PZPR) Edward Gierek przybył z wizytą do USA, tamtejsze media nie bardzo wiedziały, jak go tytułować. Trudno się dziwić, że gubiły się w zawiłościach polskiego systemu politycznego, w którym człowiek piastujący funkcję Przewodniczącego Rady Państwa, formalnie najważniejsza osoba w kraju, nie miał nic do powiedzenia. Rzeczywista władza leżała w rękach I sekretarza KC PZPR, który z kolei nie zajmował żadnego stanowiska państwowego. Czasem więc skołowani amerykańscy dziennikarze tytułowali dostojnego gościa „premierem Polski”.

W dziejach PRL funkcję I sekretarza KC PZPR sprawowało siedmiu polityków: Bolesław Bierut, Edward Ochab, Władysław Gomułka, Edward Gierek, Stanisław Kania, Wojciech Jaruzelski



i Mieczysław Rakowski. Za czasów tego ostatniego PZPR przeszła do historii. Z owych „siedmiu wspaniałych”, jak żartobliwie nazwał ich w swojej książce profesor Jerzy Eisler, najdłużej, bo aż 14 lat, władzę dzierżył Władysław Gomułka. A to sprawiło, że odcisnął trwałe piętno na historii naszego kraju. Z pewnością znacznie większe niż jego poprzednik, Edward Ochab, nie wspominając o zasiadających na tym stanowisku przez krótki okres Stanisławie Kani czy Mieczysławie Rakowskim. Gomułka, którego Stalin nazywał „dziwnym polskim komunistą”, jest też w tym gronie najbardziej skomplikowaną postacią, wymykającą się jednoznacznym ocenom. I to zarówno jako człowiek, jak i polityk, którym niewątpliwie był, choć wielu współczesnych historyków, zwłaszcza tych pravicowych, odmawia mu prawa do takiego miana.

Ani wcześniej, ani później żaden inny polityk nie cieszył się tak wielkim uwielbieniem społeczeństwa. I równie wielkim zaufaniem, bo z Gomułką, którego postrzegano jako więźnia systemu stalinowskiego, wiązano niemałe nadzieje. Bohater naszej publikacji faktycznie był najpierw napiętnowany, a potem więziony przez swoich własnych towarzyszy partyjnych, oskarżających go nie tylko o „odchylenie nacjonalistyczne”, ale wręcz o współpracę z okupantem hitlerowskim w czasie wojny. Gomułka nigdy nacjonalistą nie był, za to z pewnością był patriotą. Niezrozumiałą dla większości komunistów — będących zwolennikami internacjonalizmu klasy robotniczej — miłość do Polski zaszczepili w nim socjaliści z PPS-u, partii, do której należał na początku swojej politycznej drogi. Z kolei szyte grubymi nićmi oskarżenia o współpracę z Niemcami były najzwyczajniej w świecie wysane z palca. Gdyby Gomułka zmarł w więzieniu bądź wkrótce po opuszczeniu Miedzeszyna, gdzie był przetrzymywany, albo gdyby został skazany na karę śmierci, dziś pewnie mówilibyśmy o nim jako o bohaterze, a jego pomniki stałyby w wielu polskich miastach. Do tego jednak nie doszło. Został za to wyniesiony na szczyty władzy.

Początkowo wydawało się, że nadzieje pokładane w towarzyszu „Wiesławie”, bo często nazywano go tym konspiracyjnym pseudonimem, potwierdzą się w rzeczywistości. Faktycznie cenzura uległa liberalizacji, nie blokowano już inicjatywy prywatnej, a groźba kolektywizacji rolnictwa, której tak bardzo bali się polscy chłopi, została na dobre zażegnana. Zdaniem Gomułki wprowadzenie kolektywizacji w Polsce byłoby szkodliwe zarówno gospodarczo, jak i politycznie. W kinach pojawiły się amerykańskie i zachodnioeuropejskie filmy, a w Klubach Międzynarodowej Książki i Prasy, potocznie zwanych empikami, można było znaleźć zachodnie gazety i czasopisma, dostępne dla czytelników władających obcymi językami. Dzięki temu obywatele PRL mogli się zetknąć z informacjami ze świata i kultury, wolnymi od socjalistycznej propagandy. Sam Gomułka natomiast za swoje największe życiowe osiągnięcie uznawał podpisanie w 1970 roku układu z Republiką Federalną Niemiec (RFN), w ramach którego zostały uznane powojenne zachodnie granice Polski. Miał też większe ambicje — marzyło mu się przekształcenie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG) w prężną organizację, dorównującą Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej (EWG), ale jego wysiłki w tej kwestii spełzły na niczym.

Polacy ostatecznie bardzo zawiedli się na Gomułce. Wprawdzie w przemówieniach wygłaszanych po przejściu władzy w październiku 1956 roku mówił o planach demokratyzacji, ale nie o demokracji, bo z całą pewnością demokratą nie był. Przejawiał za to cechy autokraty i był zwolennikiem silnej władzy wykonawczej, zaś tradycje polskiego parlamentaryzmu jawiły mu się jako forma anarchii. Jak przystało na dyktatora, bo w gruncie rzeczy nim się stał, uważał, że tylko on wie, co dobre dla Polski i polskiego narodu. Ingerował nie tylko w politykę i gospodarkę, ale także we wszystkie sfery życia publicznego i społecznego. Tymczasem życie w państwie pod jego rządami nie należało do łatwych, głównie przez cyklicznie wprowadzane podwyżki

i wieczne niedobory towarów na rynku. W ówczesnej Polsce, nie bez przyczyny zwanej przaśno-buraczną, żyło się skromnie, choć w miarę spokojnie i stabilnie. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że Gomułka był przeciwny wydatkom z budżetu państwa i zaciąganiu kredytów na cele konsumpcyjne. Marzyła mu się Polska silna gospodarczo i uprzemysłowiona, ale pomimo szumnych planów i wzniosłych haseł nasza ojczyzna w latach 60. była raczej krajem wiejskim i małomiasteczkowym, z zaledwie kilkoma centrami przemysłowymi. W ówczesnych miastach żyło niemal tyle samo ludzi ile na wsi. Dorastający w galicyjskiej biedzie Gomułka nie rozumiał potrzeb społeczeństwa dotyczących poprawy stopy życiowej. Nie pojmował też młodego pokolenia, dorastającego już po wojnie, dla którego bezustanne porównywanie aktualnych warunków życia do niedoli przedwojennych robotników stawało się wręcz irytujące. Z kolei odpowiedzią na rosnące potrzeby mieszkaniowe miały być budowane z inspiracji Gomułki mikroskopijne, nieustawne mieszkanca ze ślepą kuchnią. Rozwój przemysłu motoryzacyjnego także nie leżał I sekretarzowi na sercu, bo przecież, jak mawiał, klasy robotniczej na samochody nie stać. I nawet nie przyszło mu do głowy, by tak pokierować polską gospodarką, aby ciężko pracujący robotnicy mogli zarabiać na tyle dobrze, żeby kupić sobie samochód. Trudno zresztą wymagać od człowieka, który swoją edukację zakończył na szkole wydziałowej, jak zwano placówki przygotowujące do zawodu, żeby dorównał wykształconym ekonomistom. I to nawet jeżeli był genialnym samoukiem, który na własną rękę zgłębił tajniki tej dziedziny wiedzy, miał fotograficzną pamięć i całymi godzinami studiował wszelkiego rodzaju zestawienia oraz dane statystyczne.

Trzeba przyznać, że I sekretarz nie był człowiekiem łatwym we współżyciu. Nie lubił kawy, a jej picie uważał nie tylko za godny potępienia burżuazyjny zwyczaj, ale wręcz za wyrzucanie pieniędzy w błoto. Wszak na zakup tej używki trzeba było wydać cenne dewizy, za które można byłoby zbudować niejedną

fabrykę. Nie znosił koni, które w jego oczach były reliktem dawno minionej epoki, miał awersję do wojska i — jako człowiek pruderyjny — na widok roznegliżowanej Kaliny Jędrusik miał rzucać kapciem w telewizor. A przynajmniej takie krążyły plotki.

Jak na marksistę z krwi i kości przystało, Gomułka religię uważał za formę zabobonu. Walczył z cieszącym się w jego czasach bardzo dużym autorytetem społecznym Kościołem. Sprawy nie ułatwiał fakt, że na czele tej instytucji stał wówczas nie byle jaki przeciwnik, bo niezłomny kardynał Stefan Wyszyński, który jako jeden z nielicznych nie wierzył w reformatorskie zapęły I sekretarza. Widownią tej osobliwej walki stały się zwłaszcza przypadające na 1966 rok obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego. Wprawdzie Gomułka wojnę o rząd dusz przegrał z kretesem, ale zainicjował budowę tysiąca szkół na tysiąc lat Polski, dzięki czemu uczniowie mogli się kształcić w nowoczesnych obiektach, niewiele ustępujących placówkom edukacyjnym w krajach zachodnich. Zdecydowana większość tych szkół, postawionych za pieniądze ze składek społeczeństwa, do dziś służy młodym Polakom. Wojna z Kościołem dość mocno osłabiła pozycję Gomułki, ale znacznie bardziej nadszarpnął ją Marzec 1968, jak określa się przesilenie polityczne zapoczątkowane w Polsce przez zdjęcie z afisza inscenizacji mickiewiczowskich *Dziadów* Kazimierza Dejmka. Wydarzenia marcowe zmieniły się w antyinteligentką nagonkę i antysemitką czystkę, w wyniku której nasz kraj musiało opuścić, według różnych szacunków, od 13 tysięcy do 20 tysięcy obywateli o żydowskich korzeniach. Wśród nich nie brakowało naukowców i luminarzy kultury. Gwoździem do politycznej trumny Gomułki okazała się podwyżka cen ogłoszona tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1970 roku, która doprowadziła do robotniczego buntu na Wybrzeżu, krwawo stłumionego na rozkaz I sekretarza. On sam przyplącił to nie tylko utratą zdrowia, ale przede wszystkim odejściem ze stanowiska na polityczną emeryturę, z czym nie mógł się pogodzić do końca życia. Podobnie

jak z faktem, że odchodził w niesławie, jako człowiek, którego ręce splamione są krwią robotników.

Współcześnie w ocenie Gomułki ścierają się dwa przeciwstawne nurty: jeden prezentuje go jako zwykłego aparaczyka, sługusa systemu i radzieckiej władzy, ponoszącego niemal wyłączną winę za wszystkie „wypaczenia” socjalizmu. Inni widzą w nim prawdziwego patriotę, człowieka, który potrafił się przeciwstawić Stalinowi i próbował znaleźć polską drogę do socjalizmu. Do popularyzacji tego ostatniego wizerunku walenie przyczynił się rząd Wojciecha Jaruzelskiego, który przeciwstawił sylwetkę niezłomnego komunisty o ascetycznych upodobaniach żyjącemu ponad stan Gierkowi i jego poplecznikom. Niniejsza publikacja nie stanowi jednak próby oceny Władysława Gomułki, ma jedynie przybliżyć czytelnikowi koleje jego życia, niełatwe czasy, w jakich przyszło mu żyć, oraz ludzi, których los postawił na jego drodze. Czytelnicy powinni sami odpowiedzieć na pytanie, ile prawdy jest w przewrotnej ocenie tego polityka, dokonanej przez Stefana Kisielewskiego: „Głupi był ten Gomułka, chociaż miał format rzeczywistego polityka”<sup>1</sup>.



*Władysław Gomułka w 1960 roku*

## Rozdział 1

# **CHŁEB I ZIEMNIAKI, CZYLI GALICYJSKIE DZIECIŃSTWO PRZYSZŁEGO GENSEKA**





## *Marzenie o kromce chleba*

Władysław Gomułka nie zapominał o swoich korzeniach i do końca swych dni miał sentyment do rodzinnych stron. Doskonale znający go działacz komunistyczny i niegdysiejszy wiceszef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Jan Ptasiński, wspominał, że w warszawskim mieszkaniu byłego już wówczas I sekretarza, gdzie przebywał na emeryturze, na wyeksponowanym miejscu wisiał szkic chaty, w której ten się wychowywał. Widniał na nim „dom, chyba trzyizbowy, drewniany, na podmurówce, typowy, jaki się często spotyka w tych okolicach”<sup>1</sup>, czyli na Podkarpaciu. Bohater naszej opowieści urodził się 6 lutego 1905 roku, a więc dosłownie dzień po wybuchu rewolucji lutowej, która wstrząsnęła imperium Romanowów, w Białobrzegach Franciszkańskich niedaleko Krosna, w domu przy ulicy Mostowej 5. Rodzinnej miejscowości Gomułki nie znajdziemy na współczesnych mapach, ponieważ w 1925 roku została przyłączona do Krosna i dziś funkcjonuje jako dzielnica tego miasta. Natomiast wspomniany przez Ptasińskiego dom nie był tym samym domostwem, w którym urodził się przyszły przywódca Polski Ludowej — na obrazie widniał budynek wzniesiony po latach, kiedy rodzinie Gomułków, głównie za sprawą dobrze zarabiającego Władysława, powodziło się już w miarę dobrze i stać ich było na rozbudowę swojego lokum. W 1905 roku Gomułkowie mieszkali jeszcze w nędznej, jednoizbowej chałupince. Drewno, z którego ją zbudowano przeszło sto lat wcześniej, zdążyło spróchnieć, dlatego zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz wiekowej chaty zamontowano prowizoryczne podpory, chroniące ją przed zawaleniem.

Region, w którym urodził się i dorastał Władysław Gomułka, wciąż należał do Cesarstwa Austrii i Austro-Węgier i wchodził w skład kraju koronnego Galicji i Lodomerii, potocznie nazywanego po prostu Galicją. Mówiąc oględnie, nie była to kraina mlekiem i miodem płynąca, nie na darmo we wszystkich pozostałych

zaborach funkcjonowało pojęcie „galicyjska nędza”. Region ten nazywano też „Golicja i Głodomeria”. Pod koniec XIX stulecia Galicja była jednym z najgorszych miejsc do życia i to nie tylko na terenie rozbiorowej Polski, ale w całej Europie. Żeby się o tym przekonać, wystarczy zapoznać się z danymi zamieszczonymi w wydanej w 1888 roku we Lwowie publikacji Stanisława Szczepanowskiego *Nędza Galicyi w cyfrach*. Zdecydowana większość, bo aż 74% mieszkańców tego rejonu — a pod koniec XIX wieku mieszkało tam 6,4 miliona ludzi — żyła z pracy na roli. To bardzo dużo, zważywszy, że w samym zaborze rosyjskim odsetek ten wynosił 60%, na terenie Niemiec ludność rolnicza stanowiła nieco ponad 42%, a we Francji — 45%, nie wspominając o Anglii, gdzie z rolnictwa żyło zaledwie 20% ludności. Jedynie w Irlandii rolnictwem parało się aż 75% mieszkańców. Galicyjska wieś była tak przeludniona, że na jednego mieszkańca przypadało tylko 1,6 hektara ziemi uprawnej i naprawdę niewielu galicyjskich chłopów stać było na hodowlę zwierząt. Średni dochód na głowę wynosił marne 53 złote reńskie, podczas gdy chłopci mieszkający w Królestwie Polskim mogli liczyć na 73 złote. Jeszcze gorzej wychodziło porównanie z mieszkańcami francuskich wsi, gdzie dochód *per capita* był wyższy aż o 560% i wynosił równowartość 350 złotych. Prawdziwa przepaść dzieliła galicyjskie chłopstwo od ich angielskich odpowiedników, bo na tamtejszej wsi osiągnęli dochód równoważny 450 złotym, a więc aż o 749% wyższy! W Galicji obowiązywały relatywnie wysokie podatki, wynoszące średnio 9 złotych rocznie i pochłaniające aż jedną piątą rocznego dochodu. W dodatku region nawiedzały często powodzie oraz inne klęski, niszcząc i tak marne plony ubogich rolników.

Wiek XX nie przyniósł zmian na lepsze, skoro pisarz ludowy Jakub Bojko w 1911 roku, a więc już za życia Władysława Gomułki, notował, że pożywienie galicyjskiego chłopstwa było zazwyczaj niewyszukane, ale kiedy okoliczne rzeki wylewały, co zdarzało się nawet kilka razy w roku, „zniszczywszy plony rolnika,

sprowadzały na bezradny lud głody i ciężkie przednówki. Z braku zboża dużo było pola nieobsianego, uprawa roli była nadzwyczaj marną, a i tego czasu nie było zebrać i schować. A schować nie można było, póki sługa plebański nie «wytyczył» dziesięciny, którą każdy parafianin pod grozą grzechu «wiernie Kościołowi musiał oddać». Zabrano co dziesiąty snopek na plebanię, ukradli trochę grasujący złodzieje, trochę zabrała woda, a resztę biedny chłop przepił z rozpachy u żyda, i jakże można było mieć dobre i dostatnie pożywienie? Ale mimo to ziemia, nawożona corocznym mułem, rodziła nieźle i w normalnych czasach chłopci tutejsi jadali regularnie chleb żytni z grubo w żarnach zmielonego żyta. Gdy brakło żyta, jedzono chleb z jęczmienia, prosa, bobu, a nawet i wyki. Jedynie na wielkie święta piekły kobiety kołacze duże, a tak samo na wesele, chrzciny i przy wożeniu gnoju kołacz musiał być na stole wieśniaka tutejszego”<sup>2</sup>.

Marne dochody i drastycznie uboga dieta, podobnie jak złe warunki higieniczne, w jakich mieszkała większość ludności wiejskiej, przekładały się na umieralność. Średnia długość życia mieszkańca galicyjskiej wsi płci męskiej wynosiła zaledwie 27 lat, podczas gdy kobiety żyły o rok dłużej. Problemem był też analfabetyzm — zaledwie 19% Galicjan powyżej siódmego roku życia opanowało niełatwą sztukę czytania i pisania. Nie na darmo przywołany wcześniej Bojko utyskiwał: „Dwie biedy srodze nas dręczą, a temi są: ubóstwo moralne i materjalne, czyli tak po chłopsku mówiąc, brak rozumu i brak chleba. Zastanowiwszy się głębiej nad przyczyną naszej niedoli, musimy powiedzieć, że brak rozumu jest najczęściej przyczyną braku chleba. Pan Bóg chyba nie mógł już nic cenniejszego po zdrowiu dać człowiekowi, niż rozum, to też król Salomon nie prosił Pana Boga o bogactwo, ale o rozum”<sup>3</sup>. Na wsi często powiadano: „Czemuś biedny? Boś głupi. Czemuś głupi? Boś biedny”.

Trudno się zatem dziwić młodym ludziom, którzy uciekali ze wsi do miasta, gdzie znajdowali zatrudnienie w rozwijającym się

przemysłe czy usługach. Ale i oni mogli liczyć na jedynie niewielką poprawę losu — zarobki robotników były marne, w dodatku niemal ćwierć wynagrodzenia należało przeznaczyć na czynsz. A warunki w ówczesnych lokalach mieszkaniowych biedoty były wręcz fatalne, zwłaszcza że w przeważającej większości miast jedynie co piąty budynek miał bieżącą wodę. Jeszcze w 1910 roku aż 93% domów w stołecznym Wiedniu nie miało łazienek. Nic dziwnego, że wiele miast zmagало się okresowo z epidemiami chorób zakaźnych, a brud i pasożyty skutecznie uprzykrzały życie mieszkańcom austriackich, w tym także galicyjskich, wsi i miast.

Co odważniejsi decydowali się na emigrację i wyjeżdżali do Ameryki, ale bywało, że nawet na obczyźnie nie znajdowali szczęścia i godziwych warunków do życia. Los emigrantów był udziałem Jana Gomułki, ojca przyszłego I sekretarza, i jego czterech braci, którzy około 1900 roku za chlebem wyruszyli za ocean. Oczywiście nie wszyscy razem — najpierw cała piątka pracowała na bilet najstarszego z nich, który po przybyciu na miejsce miał obowiązek zapracować na pokrycie kosztów podróży dla reszty. Wszystkim, także Janowi, wiodło się tam nieźle, bo byli pracowici i nie bali się ciężkiej pracy. Jan znalazł zatrudnienie w przemyśle metalurgicznym, spożywczym, był również górnikiem w kopalni węgla w Pensylwanii. Udało mu się dorobić nawet niezłych pieniędzy, ale przy okazji doszczętnie zrujnował sobie zdrowie. I właśnie kłopoty zdrowotne sprawiły, że postanowił wrócić w rodzinne strony. Kiedy podjął decyzję o powrocie, był już człowiekiem żonatym — na emigracji poznał Polkę, też wywodzącą się z Galicji, pannę Kunegundę Bazan, z którą wstąpił w związek małżeński. Matkę przyszłego komunistycznego przywódcy do emigracji również zmusiła bieda — jej rodzice wprawdzie pracowali jako tkacze, ale mechanizacja krosen pozbawiła ich zatrudnienia. Przedsiębiorcza dziewczyna wraz ze starszym bratem postanowiła zatem poszukać szczęścia za oceanem. Jej brat szybko znalazł pracę, ona zaś prowadziła mu dom, dopóki los nie postawił na jej drodze Jana

Gomułki. Młodzi wzięli ślub i z czasem doczekali się trójki dzieci: urodzonej w 1902 roku w Johnstown w Pensylwanii Józefiny oraz Władysława i najmłodszej Ludwiki, przy czym drugie i trzecie dziecko przyszło na świat już w Białobrzegach Franciszkańskich, gdzie osiedli Gomułkowie. Ponieważ wszystkie przywiezione przez nich pieniądze poszły na opłacenie lekarzy, Jan i Kunegunda, jak zdecydowana większość galicyjskich chłopów, gospodarzyli dosłownie na spłachetku ziemi i zajmowali wspomnianą jednoizbową chatę. Bohater naszej opowieści przyznawał, że jego ojciec miał wyjątkowego pecha, bo zarówno braciom Jana, jak i bratu Kunegundy wiodło się w Stanach całkiem nieźle. Dzięki wysiłkom lekarzy, na których rodzina wydała majątek, stan zdrowia Jana znacznie się poprawił, ale już nigdy nie mógł on pracować fizycznie jako robotnik. Zostały mu tylko słabo płatne zajęcia, z których ciężko było utrzymać żonę i trójkę potomstwa. Z czasem mógł też liczyć na pomoc krewnych ze Stanów, przesyłających mu w listach banknoty jedno- bądź pięciodolarowe.

Co ciekawe, w oficjalnych dokumentach, i to nawet tych z dwudziestolecia międzywojennego, nazwisko przyszłego przywódcy Polski Ludowej często zapisywane jest z błędem jako „Gomółka”. Jak wiadomo, wyraz „gomółka” oznacza kulistą lub owalną masę albo rodzaj sera, popularnego niegdyś głównie ze względu na to, że suszone, stwardniałe niemal na kamień serowe kulki można było przechowywać przez całą zimę. Na przednówku było to doskonałe źródło białka. Trudno się zatem dziwić, że przedwojenni urzędnicy czy przesłuchujący młodego Gomułkę funkcjonariusze policji, usłyszawszy jego nazwisko, odruchowo zapisywali je przez „ó”.

Mały Gomułka, podobnie jak reszta jego rodziny, w dzieciństwie aż za dobrze poznał smak biedy. Ojciec zarabiał niewiele, zaś podstawą wyżywienia w domu rodzinnym przyszłego I sekretarza KC PZPR „były ziemniaki pochodzące z dzierżawionego przez matkę u sąsiada waziutkiego zagonu, który uprawiała, płacąc za dzierżawę kilkudniowym odrobkiem przy żniwach. Niekiedy zarobiła też

miarke żyta za pracę w polu u zasobniejszego sąsiada”<sup>4</sup>. Sytuacja materialna Gomułków drastycznie się pogorszyła po wybuchu I wojny światowej — Jan, jedyny żywiciel rodziny, został zmobilizowany do służby w oddziałach sanitarnych. Wcześniej już niewiele zarabiał, ale po jego mobilizacji najbliżsi boleśnie odczuli brak pensji, którą przynosił do domu. Jak wspomina w swoim pamiętniku Władysław, właścicielka lokalnego sklepiku wydawała jego mamie towary i zapisywała je w specjalnym brulionie, który sukcesywnie „zapełniał się nowymi pozycjami kredytowymi, wśród nich zawsze figurowało kilkanaście kilogramów mąki żytniej na nowy wypiek chleba. I tak w koło, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, przez wiele lat po zakończeniu I wojny światowej aż do czasu, gdy do skromnych zarobków ojca doszły zarobki pozostałych członków rodziny”<sup>5</sup>. Pani Gomułkowa raz na miesiąc piekła 10 bochenków chleba, a potem wydzielała określoną porcję wszystkim członkom rodziny, w tym czwórce dzieci, bo obok dwóch córek i syna miała jeszcze na wychowaniu bratanek swojego męża. Gomułka w swoich pamiętnikach nie podaje, dlaczego brat stryjeczny stale z nimi mieszkał, ale jego obecność oznaczała większe wydatki. Władysław jako dziecko miał jedno proste marzenie — żeby mama, która sprawiedliwie obdzielała upieczonym przez siebie chlebem wszystkich domowników, chociaż raz odkroiła mu nieco większą kromkę, dzięki czemu mógłby się najeść do syta.

Choć lata I wojny światowej okazały się dla Gomułków szczególnie ciężkie, przedsiębiorcza Kunegunda radziła sobie, jak umiała. Podstawą wyżywienia jej dość licznej rodziny były uprawiane przez nią na dzierżawionym zagonie ziemniaki, a chleb pojawiał się na stole jeszcze rzadziej niż przedtem. Kiedy tylko pani Gomułkowej udało się zdobyć choćby miarkę żyta, wraz z jedynym synem mieliła je na mąkę na żarnach stojących w sieni ich skromnego domostwa. Z czasem pomysłowej kobiecie udało się znaleźć substytut chleba — zastępowała go plackami będącymi jej autorskim pomysłem. Ich zasadniczym składnikiem były ziemniaki

z niewielkim dodatkiem mąki. Te pieczone na płycie kuchennej placuszki musiały być smaczne, skoro przyszły działacz już jako dojrzały człowiek wspominał je z rozrzewaniem.

Na początku Wielkiej Wojny Krosno przechodziło z rąk do rąk — 26 września 1914 roku zajęły je wojska rosyjskie, zaś niespełna miesiąc później opanowali je Austriacy. Rosjanie odbili miasto 10 listopada, by 15 grudnia stracić je na rzecz Austrii. Z kolei wojska austriackie wycofały się z niego 21 grudnia i Krosno ponownie opanowała armia rosyjska. 7 maja 1915 roku zajęły je połączone siły Niemiec i Austrii. „Fala walk frontowych przewalała się nieopodal mego miejsca zamieszkania, skąd obserwowałem nawet strzelających z okopów żołnierzy austriackich — wspominał Gomułka. — Moja rodzinna miejscowość przechodziła dwukrotnie w ręce wojsk Rosji carskiej, skąd po pewnym czasie wypierały je w krwawych walkach wojska Austrii i Niemiec. Mieszkałem tuż przy głównym szlaku drogowym prowadzącym do Przemyśla. Obserwowałem wszystkie rodzaje nacierających i cofających się wojsk. Moje sympatie były wówczas po stronie wojsk austriackich, przede wszystkim dlatego, że w szeregach tych wojsk znajdował się również mój ojciec, zmobilizowany jako rezerwista w 1914 r.”<sup>6</sup>. Paradoksalnie wojenny galimatias sprzyjał zdobywaniu zapasów jedzenia. Niedaleko rodzinnego domu Gomułki znajdowały się doskonale zaopatrzone wojskowe magazyny, wykorzystywane zarówno przez wojska austriackie, jak i rosyjskie, zależnie od tego, w czyich rękach było akurat Krosno. Zgodnie z obowiązującym wówczas prawem wojennym przy wycofywaniu się wojskowych oddziałów palono wszystkie zmagazynowane zapasy. I tak kilogramy mąki, sucharów, kawy, cukru, tłuszczów, grochu i kasz dosłownie puszczano z dymem, niezbyt przejmując się faktem, że ludność cywilna mogłaby te artykuły wykorzystać do własnych celów. O ile jednak Austriacy rzetelnie się z tego obowiązku wywiązywali, o tyle Rosjanie podpalali „swoją magazyn żywnościowy dopiero podczas oczyszczania go z zawartości przez okolicznych

mieszkańców. Zniszczeniu uległy tylko resztki żywności, której ludność nie zdołała już uratować przed ogniem”<sup>7</sup>. Nader często czujność carskich żołnierzy pilnujących zapasów skutecznie osłabiał samogon, dostarczany im przez któregoś z mieszkańców okolicznych miejscowości.

Gomułka po latach wspominał, że wraz z matką niejednokrotnie brał udział w takim „oczyszczaniu” rosyjskich magazynów, a pewnego razu udało mu się zdobyć aż dwa wielkie, razem ważące 50 kilogramów, worki oficerskich sucharów. Schowali cenny łup pod drzewami rosnącymi kilkadziesiąt metrów od rampy kolejowej. Podczas gdy pani Kunegunda stała na straży zdobyczy, jej sprytny syn wrócił do magazynu, gdzie z podłogi, dosłownie spod nóg innych plądrujących to pomieszczenie, zebrał kilka kilogramów cukru w kostkach, które włożył do przepastnych kieszeni swojej jesionki. Potem wspólnie z matką zataszczyli zdobyczną żywność do oddalonego o cały kilometr domu, idąc na skrót przez pola. Innym razem wynieśli z magazynu wielki wór mąki oraz skrzynkę o nieznanym im zawartości. A ponieważ była ona znacznie cięższa niż wcześniej zdobyty worek z mąką, pani Kunegunda łudziła się, że w środku znajduje cukier. Kiedy zarówno zdobyty zapas mąki, jak i skrzynka z tajemniczą zawartością leżały bezpiecznie pod drzewami, strzeżone przez małą Józję Gomułkównę, pojawiło się pytanie, jak przetransportować te cenne zdobycze do domu. O niesieniu wszystkiego przez całą drogę nawet nie było mowy. „Worek był ciężki, ważył chyba ponad 60 kilogramów — wspominał Gomułka. — Nikt z nas nie był w stanie zanieść go na plecach do domu. Skrzynki zaś, chociaż lżejsze, były niewygodne do przenoszenia na plecach”<sup>8</sup>. Władek wpadł na zbawienny pomysł, by wrócić do domu po taczki. Wprawdzie przedsiębiorcza rodzinka musiała trzy razy obracać tam i z powrotem, ale w końcu udało się przewieźć całą zdobycz. Teraz spokojnie można było zajrzeć to tajemniczych skrzynek. Ku zaskoczeniu pani Gomułkowej nie było w nich cukru — w jednej znajdowały się suszone warzywa,



wykorzystywane w polowej kuchni do gotowania zupy, a w drugiej aż 10 kartonów z paczkami z machorką. Największą radość sprawił wszystkim worek mąki, z której Kunegunda potem robiła pożywne kluski dla całej rodziny, ale machorkę też można było wykorzystać z pożytkiem. W dobie wojennych niedoborów okazała się cennym towarem, który pani Gomułkowa wymieniała u chłopów na rozmaite artykuły żywnościowe, w rodzaju masła czy słoniny.

Czytając wspomnienia Gomułki z czasów I wojny światowej, można odnieść wrażenie, że kwestie aprowizacyjne i wysiłki zmierzające do zdobycia zapasów jedzenia były wówczas dla niego samego i jego rodziny najważniejsze. A przecież był to czas obfitujący w dramatyczne wydarzenia, które stały się też udziałem bohatera naszej opowieści. „Nie przedstawiam tu różnych zaobserwowanych epizodów wojennych, takich jak poddawanie się do niewoli rosyjskiej ukrytych w naszym domu żołnierzy austriackich, czemu się przyglądałem z wielką ciekawością, lub obrzucanie bombami z niewielkiej wysokości przez dwa samoloty niemieckie taboru wojskowego złożonego z kilkudziesięciu wozów, który zatrzymał się na nocny odpoczynek w olszynie około 150 metrów od naszego domu — czytamy na kartach jego wspomnień. — Zabitych zostało wówczas kilkanaście przywiązanych do drzewa koni, inne zaś zerwały sznury i rozbiegły się na wszystkie strony. Nie zapomniałem nigdy widoku, jak podczas ostrzeliwania na szosie galopujących w ucieczce kozaków jeden z nich spadł z konia, który ranny przez dłuższy czas biegł za uciekającym i wołającym go kozakiem, aż wreszcie wykrwawiony upadł i śmiercią zakończył swoją końską służbę wojskową. Podobnych epizodów wojennych utkwіło wiele w mojej pamięci. Miały one określony wpływ na kształtowanie się mojej świadomości i osobowości. Pozostawiam je na uboczu, jako zbyt dalekie od zamierzonego tematu moich wspomnień”<sup>9</sup>. Według biografy Gomułki, Piotra Lipińskiego, pamięć o głodzie, którego miał okazję zaznać w dzieciństwie i we wczesnej młodości, była w nim żywa do końca życia. Pamiętał o tych doświadczeniach także

wówczas, gdy stał na czele państwa. „Kiedy kierował krajem, dziwił się więc, że ludzie chcieliby na co dzień jeść szynkę — zauważyła Lipiński. — Przecież szczawiowa z jajkiem to też jest świetne pożywienie, mawiał, nie rozumiejąc tych zbędnych potrzeb. Wszak w powojennej Polsce już nie brakowało chleba, a u niego w domu szczenięcia matka tylko raz w miesiącu piekła dziesięć bochenków na sześćosobową rodzinę”<sup>10</sup>.

### *Wzorowy uczeń*

Jan Gomułka powrócił do domu z wojny stosunkowo szybko, bo już w 1916 roku został zwolniony z wojska ze względu na stan zdrowia. Ale nie oznaczało to znaczącej poprawy sytuacji finansowej rodziny. W tym samym roku jego jedyny syn zakończył swoją edukację szkolną, co nie było niczym niezwykłym w przypadku dzieci wywodzących się z niezamożnych rodzin. Ich rodziców po prostu nie było stać na dalsze kształcenie, zwłaszcza kiedy mieli na utrzymaniu sporą gromadkę potomstwa. Zarówno ojcom, jak i matkom zależało jedynie, by ich synowie jak najszybciej się usamodzielnili, zdobyli jak najlepszy, dość dobrze płatny zawód i dokładali się do utrzymania rodziny. Córki natomiast równie szybko wydawano za mąż, aczkolwiek znalezienie dobrego męża dla panny bez posagu nie było łatwą sprawą.

W tym miejscu należałoby zauważyć, że Polacy dorastający ówczesnie w zaborze austriackim i korzystający z dobrodziejstwa edukacji jako jedyni z wszystkich trzech zaborów mogli się uczyć w swoim ojczystym języku. Uzyskanie przez Galicję autonomii politycznej zakończyło germanizację tamtejszej oświaty, zaś Ustawa Sejmu Krajowego Galicji z 22 czerwca 1867 roku wprowadziła do szkół język polski jako wykładowy. Takie same regulacje obowiązywały zresztą w innych szkołach narodowych na terenie całego cesarstwa, co miało na celu utrzymanie i promowanie różnorodności kulturowej w państwie. Gomułka uczył się do oddalonej

od jego rodzinnego domu o 2 kilometry tak zwanej szkoły ludowej w Krośnie, w której nauka trwała cztery lata. Wprawdzie musiał codziennie pokonywać tę drogę piechotą, ale nie narzekał, bo naprawdę lubił się uczyć. Do szkoły poszedł jako siedmiolatek w 1912 roku i do końca swojej edukacji był najlepszym uczniem w klasie. Po ukończeniu czteroletniej szkoły ludowej kontynuował edukację w trzyletniej Szkole Wydziałowej Męskiej. Od początku na świadectwie przyszłego przywódcy Polski Ludowej figurowały same piątki ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem śpiewu. Straszliwie fałszował i nigdy nie dostał z tego przedmiotu dobrej oceny, jednak ze względu na postępy w innych dziedzinach litościwy pedagog na koniec roku wystawiał mu zawsze czwórkę, nie chcąc mu psuć świadectwa. Gomułka nie radził sobie też na lekcjach rysunku, zresztą przez całe życie miał dość lekceważące podejście do kwestii kultury i sztuki.

Poza tym uczył się bardzo dobrze, przewyższając pod tym względem swoich kolegów. Było to o tyle zaskakujące, że nie miał nawet wszystkich podręczników, bo jego matki nie było stać na ich zakup. Sprytny Włodek pożyczał od kolegów książki i czytał je na przerwach, by w ten sposób opanować materiał. A pamięć miał fotograficzną, co zostało mu do końca życia i czym niejednokrotnie zadziwiał najpierw innych uczniów, a potem partyjnych towarzyszy. Zdaniem profesora Andrzeja Werblana Gomułka z „edukacji szkolnej, choć krótkotrwałej, wyniósł poprawność pisowni, dobre podstawy stylu, systematyczność, a ponadto czytelne, wręcz kaligraficzne pismo. Zawsze lubił pisać ołówkiem, wycierając błędy i poprawki starannie gumką, tak jak go uczono tego w galicyjskiej szkole”<sup>11</sup>. Gomułka w szkole zgromadził także wyłącznie dobre wspomnienia, chociaż nigdy nie miał prawdziwych wakacji. Zamiast wypoczywać i nabierać sił do nauki, mały Włodek musiał wypasać krowy bogatego sąsiada. Oczywiście za pieniądze, za które potem mógł kupić sobie chociażby parę porządnych butów. „Mnie nie tylko nie nurtował jakikolwiek sprzeciw, lecz spędzenie w ten

sposób wakacji uważałem za najbardziej normalne — zapewniał w swoich wspomnieniach. — Czułem się nawet dumny z tego, że mogę już trochę zarobić na sobie i ulżyć w ten sposób matce”<sup>12</sup>. Dzień pracy w charakterze pastuszka zaczynał już o 6.00 rano poranną toaletą, w trakcie której mył się wodą nalewaną konewką do stojącej na kuchennym taborecie miski. Ponieważ Gomułków nie zawsze stać było na kostkę mydła, bywało, że zastępowano je sodą. Umywszy się, Władek wkładał koszulę i krótkie spodnie, a w zimniejsze bądź deszczowe dni dodatkowo marynarkę i kaszkiet. „Ze sznurowaniem obuwia nie miałem nigdy kłopotu, gdyż poczynając od cieplejszych dni wiosny aż do późnej jesieni, chodziłem boso tak do szkoły, jak i poza szkołą, nie wyłączając niedziel i świąt. Pod tym względem nie stanowiłem zresztą wyjątku. Zjawisko to występowało powszechnie i obejmowało większość moich rówieśników”<sup>13</sup>. Pamięć o tym towarzyszyła mu już zawsze i kiedy stał na czele państwa, nie mógł się nadziwić, dlaczego Polacy, a zwłaszcza chłopcy i robotnicy, narzekają na poziom życia. Wszak dzięki staraniom partii nikt już boso nie chodził...

W każdym razie u sąsiada czekały na niego nie tylko wydojone krowy, które miał wyprowadzić na pastwisko, ale także prawdziwy rarytas: śniadanie składające się z kromki chleba, czasem nawet z masłem i serem, oraz garnuszek świeżego mleka. Bywało, że zamiast chleba dostawał zimną kaszę z poprzedniego dnia, ale nie narzekał, zwłaszcza że należało mu się także drugie śniadanie. Gospodyni zawijała w ściereczkę pokaźną pajdę chleba posmarowaną masłem, a często i grubą warstwą białego sera. Tak zaopatrzony, Władek wyprowadzał krowy na pastwisko, a raczej coś na kształt pastwiska. Jak pisał w swoich pamiętnikach, żadne z gospodarstw, w których pracował w czasie wakacji, nie miało pastwisk z prawdziwego zdarzenia ani nawet łąk. Bydło pasło się zatem na zarośniętych trawą drogach bądź skrawkach ziemi, na przykład na poboczu szosy, toru kolejowego lub na brzegu strumyka. Krów nie wolno było puszczać wolno, tylko trzymano je na

grubym konopnym sznurze, który zawiązywało się im na rogach w taki sposób, że „były złączone jednym sznurem, który pośrodku trzymałem w ręku, mając zawsze jedną krowę z przodu i drugą z tyłu — wyjaśniał w swoich wspomnieniach. — Każde pociągnięcie za sznur zaciskało pętle na rogach krowy, co pozwalało nią kierować i utrzymywać ją w posłuszeństwie. Jeśli oprócz krów było jeszcze do pasienia cielę, to wiązało się go za głowę innym, cieńszym sznurem, przymocowując jego drugi koniec w połowie sznura łączącego krowy. Cielę zawsze znajdowało się z tyłu, obok krowy. Wprawdzie i bez wiązania go sznurem nie odeszłoby od swojej matki, lecz będąc swobodne, mogłoby wyrządzić różne szkody w polu położonym wzdłuż drogi służącej za pastwisko”<sup>14</sup>. Wypasanie bydła nie było ciężką pracą, obowiązki sprowadzały się bowiem do sprowadzenia krów w określone miejsce, gdzie mogłyby jak najszybciej się najeść. Jak wspomina Gomułka, o tym, że zwierzę już jest najedzone, świadczył dołek po prawej stronie brzucha — jeżeli był wyrównany, krowa była syta i można było ją odprowadzić do obory. Tam około południa odbywał się drugi udój, w trakcie którego krowy dostawały zieloną paszę, czyli liście buraczane, koniczynę i trawę. Przygotowanie jej nie należało do obowiązków Gomułki, ale z reguły pomagał gospodarzom w zbieraniu zielonki. O godzinie 13.00 młody pastuszek zasiadał do obiadu wraz ze swoim pracodawcą i jego rodziną. Nie był to z pewnością wykwintny posiłek, mimo że gospodarzom zatrudniającym chłopca powodziło się znacznie lepiej niż rodzinie Władysława: „Kartoflanka, kapuśniak, biały, gęsty barszcz należały do najczęściej powtarzających się zup, a drugie danie stanowiły takie potrawy, jak kluski sporządzane w kilku odmianach, różne kasze gotowane na gęsto oraz ziemniaki ze zsiadłym mlekiem. Te ostatnie bardzo mi smakowały, gdyż o tej porze były młode. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek w obiadowym menu wchodziło jakieś mięso. Ludzie, o których mówię, a takich była przynajmniej większość, mięsa nie jadali, zwłaszcza latem. Na ich stołach pojawiała się

mięso, względnie wyroby mięsne, tylko na Wielkanoc i na Boże Narodzenie, a także wówczas, kiedy zarznęli nieznoszącą już jajek kurę. Do kraszenia potraw używano głównie masła i w mniejszym zakresie oleju oraz słoniny. Do potraw spożywanych z mlekiem nie używało się żadnych tłuszczów. Tłuszcze zastępowano także białym serem, np. kluski pokrajane na makaron zaraz po ugotowaniu zaprawiało się rozkruszonym twarogiem. Jeśli dodano do tego jeszcze łyżkę cukru — potrawa była znakomita. Miałem zresztą dobry apetyt. Nie narzekałem więc na obiady, jak w ogóle na całodzienne wyżywienie”<sup>15</sup>.

Po skończonym obiedzie młodego Władka czekały kolejne obowiązki: pomagał przy pracach gospodarskich, a około 16.00 ponownie wyprowadzał krowy. Ponieważ drugi wypas trwał krócej niż poranny, Gomułka przyprowadzał bydło z powrotem już o 20.00 — na wieczorny udój. O wolnej niedzieli, nie wspominając o sobocie, będącej wówczas normalnym dniem pracy, mógł jedynie pomarzyć. Tego dnia jednak popas krów trwał o dwie godziny krócej i chłopak miał więcej czasu dla siebie. Wpadł też na sprytny pomysł: „przygotowywałem im uprzednio zieloną wykę lub koniczynę, którą ukrywałem w polu, a później dokarmałem tą zielonką bydło. Nie zważałem przy tym na to, czy zielonka pochodziła z pola mojego gospodarza, czy też z pola jego sąsiada. Rzecz jasna, o praktykach tych nikomu nie mówiłem. Po takim dokarmianiu krów, gdy w niedzielne popołudnie przyprowadzałem je do obory po dwóch godzinach pasienia, gospodyni wyrażała zwykle zdziwienie i zarazem zadowolenie, że tak dobrze je napasłem w tak krótkim czasie”<sup>16</sup>.

Pod koniec dnia zasiadał wraz z rodziną gospodarza do kolacji, na którą z reguły podawano ziemniaki z kwaśnym mlekiem, a czasami chleb z serem oraz mleko. Po zjedzeniu tego posiłku chłopiec miał wreszcie czas dla siebie i mógł wraz z kolegami popływać w rzece. Pływać kraulem nauczył się bardzo wcześnie, jeszcze zanim poszedł do szkoły, i ten sport uprawiał nawet jako

przywódca państwa. Każdy dzień zaczynał wówczas od wizyty na basenie w Pałacu Kultury i Nauki, gdzie czekał na niego specjalnie zarezerwowany osobny tor. Nie do pomyslenia było, żeby w tym czasie z basenu korzystali zwyczajni warszawiacy — pływali tam wyłącznie inni dostojnicy partyjni, zazwyczaj Józef Tejchma i Artur Starewicz.

Wróćmy do dzieciństwa Gomułki. Wspominał on, że kiedy wraz z kolegami nie mogli na wakacjach korzystać z dobrodziejstwa kąpieli, wynajdywali sobie rozmaite zajęcia i zabawy: wspinali się po słupie, urządzali wyścigi bądź grali w palanta czy w kiczkę. Kiczka, zwana też klipą, to gra, do której wystarczą dwa kawałki drewnianego patyka: jeden krótki, a drugi dłuższy. Ten krótszy, zwany kiczką, kładzie się na ziemi w specjalnie wydrążonym podłużnym dołku, nazywanym domem bądź królestwem, a następnie wybija się go pałką, czyli dłuższym kijem. Przeciwna drużyna stara się złapać kiczkę w powietrzu. Jeżeli któremuś z uczestników uda się ta sztuka, jego drużyna przejmuje kiczkę i wybija ją z domu. Gomułka przyznawał się też do innych rozrywek. Bywało, że chadzał z kolegami na dzierzawę, zwaną również pachtą, czyli do ogrodów zamożniejszych chłopów na jabłka, z reguły niedojrzałe i kwaśne. Do domu wracał dopiero późnym wieczorem, mył nogi w drewnianym cebrzyku, płukał usta ciepłą wodą z kubka i szedł spać. Tak upływały mu letnie miesiące.

Wraz z końcem wakacji kresu dobiegła praca u sąsiadów i pływanie z kolegami w rzece. Rodzina musiała sobie jakoś radzić bez pieniędzy zarabianych przez Władka, a w domu nigdy się nie przelewało. Ponieważ Jan Gomułka nie mógł pracować fizycznie, zatrudnił się jako stróż nocny w cegielni w sąsiedniej miejscowości. Pomimo że pracował codziennie po 12 godzin, dostawał bardzo niskie wynagrodzenie i z trudem utrzymywał rodzinę, dlatego z wytęsknieniem wyczekiwał dnia, kiedy jego syn skończy szkołę wydziałową i pójdzie do pracy, by wspomóc rodzinny budżet. Jako że Wladek był jednym z najlepszych uczniów w klasie, nauczyciele

namawiali go do kontynuowania nauki. Jeden z pedagogów proponował mu takie rozwiązanie tej patowej sytuacji: „Możesz przecież wziąć korepetycje, możesz przygotować 2–3 uczniów do odrobienia lekcji, a później do egzaminu. O korepetycje sam ci się postaram, jeśli zechcesz. Będzie z ciebie dobry nauczyciel. Powiedz rodzicom, co ci mówiłem”<sup>17</sup>. Ale ambitny chłopak nie powtórzył nikomu tej rozmowy. Doskonale wiedział, że chłopcy, którym miałby udzielać lekcji, pochodzili ze znacznie zamożniejszych domów. Niezręcznie by było, gdyby korepetytor przychodził na lekcje bez butów. W efekcie Gomułka zrezygnował z dalszej nauki, a potem był obiektem drwin z peerelowskiego establishmentu, którego członkowie w młodości zamiast chodzić do szkoły, pasali krowy. Sam zdawał sobie sprawę z braków w edukacji i miał z tego powodu kompleksy. Zauważał to chociażby Piotr Kostikow, który zetknął się z Gomułką, kiedy ten był u szczytu władzy. Polski komunista zrobił na nim niemałe wrażenie, zresztą Gomułka był w Rosji bardzo poważany jako weteran ruchu robotniczego. Kostikow, wysoki rangą funkcjonariusz radzieckiej partii komunistycznej, odpowiadający za kontakty z polskimi komunistami, uważał go za inteligentnego człowieka, obdarzonego niemałą charyzmą i ciekawego świata. Jak wspominał, polskiego przywódcę szczególnie interesowały kwestie gospodarcze: „jeśli trafiłem na jego ulubionego konika z dziedziny gospodarczej — dawał mi cały wykład. Miał piekielny łeb do liczb, co przy jego umiejętnościach analizy dawało mu przewagę w wielu dyskusjach. Często jednak z żalem mówił, że niestety, los był dla niego nieprzychylny, bo nie pozwolił mu się uczyć. Był to chyba jego kompleks — często mi mówił, że tak chciał się uczyć, tak lubił się uczyć, poznawać, ale nie udało mu się, a teraz często brakuje wiedzy, pewnych umiejętności...”<sup>18</sup>. W biografii Gomułki i artykułach mu poświęconych często spotyka się opinię, jakoby nie znosił intelektualistów, zwłaszcza tych, którzy nigdy w życiu nie zhańbili się pracą fizyczną. To też wskazywałoby na jego kompleks związane z marnym wykształceniem. Jeden z jego



współpracowników w Ministerstwie Ziem Odzyskanych, Włodzimierz Lechowicz, otwarcie twierdził, że Gomułka był przekonany o primacie pracy fizycznej nad umysłową. Sam jednak odczuwał głód wiedzy i popierał „doksztalcanie się pracowników, widząc w tym jakby naturalne doskonalenie i rozszerzanie pola pracy. Z mniejszym uznaniem odnosił się do studiów podejmowanych w pogoni za stopniami i tytułami naukowymi, które miały służyć jako szczebel do dalszej kariery lub jako zabezpieczenie sobie pozycji na przyszłość”<sup>19</sup>. Ponieważ ta cecha przywódcy była powszechnie znana, „niektórzy ludzie na odpowiedzialnych stanowiskach, którzy w okresie Gomułki zdobywali tytuły naukowe, nie używali ich przez jakiś czas, aby nie zwracać na siebie uwagi”<sup>20</sup>. Jeżeli wierzyć Kostikowowi, polski przywódca miał jednak wielki szacunek do wybitnych uczonych. Podczas jednej z wizyt w ZSRR Gomułka poprosił go o umożliwienie spotkania z pewnym radzieckim naukowcem. Przy tej okazji wyznał: „Wiecie, towarzyszu Kostikow, zawsze zazdroszczę uczonym, ale w takim dobrym słowa tego znaczeniu, bez zawiści. [...] Przy takich ludziach zawsze jako polityk czuję się małym ziarenkiem... Całe życie marzyłem, żeby się uczyć, ale niestety, nie udało się. Jak ja żałuję...”<sup>21</sup>. Kto wie, może gdyby przed laty Gomułka zamiast być posłusznym synem, poszedł za radą nauczyciela, losy naszego kraju potoczyłyby się zupełnie inaczej...

### *W terminie u ślusarza*

Jan Gomułka, pracując jako niewykwalifikowany robotnik w Ameryce, zdążył poznać blaski i cienie tego rodzaju pracy. Doskonale wiedział, że wprawdzie można się z tego utrzymać, ale praca fizyczna wymaga dobrego stanu zdrowia. Na własnej skórze zdołał się też przekonać, że jakiegokolwiek kłopoty zdrowotne wykluczają człowieka z czynnego życia zawodowego. Doświadczenie nauczyło go, że ciężka fizyczna praca potrafi zrujnować zdrowie, trudno się zatem dziwić, że synowi chciał oszczędzić tego

losu. Wprawdzie ze względu na brak stosownego wykształcenia Władysław mógł zapomnieć o karierze urzędnika i jakiegokolwiek innej pracy umysłowej, ale przecież istniały zawody rzemieślnicze niewymagające specjalnego wysiłku, a dające nadzieję na godziwe utrzymanie. Panu Janowi jako takie jawiło się krawiectwo — jego zdaniem było to zajęcie dobrze płatne, w dodatku ubrania szyło się w ogrzewanym zimą pomieszczeniu i miało się kontakt z zamożną, kulturalną klientelą. A najważniejsze, przynajmniej z punktu widzenia ojca przyszłego przywódcy, było to, że praca krawca nie groziła żadnymi wypadkami ani kłopotami ze zdrowiem. A przynajmniej nie takimi jak te czyhające na budowie, w kopalni czy w fabryce.

Problem polegał jednak na tym, że Władysław nie podzielał entuzjazmu ojca i do zmiany zdania nie nakłoniła go nawet wizyta w pracowni krawieckiej, w której miał się uczyć zawodu. Zbuntowany młodzieniec stanowczo oświadczył, że nie zostanie krawcem, tylko ślusarzem. W owych czasach ten drugi zawód był dobrze płatny i poważany, co skłoniło pana Jana do zmiany zdania. I tak niespełna 15-letni Gomułka trafił do zakładu ślusarskiego prowadzonego przez Jana Zygmunowicza w Krośnie, gdzie przez kolejne trzy lata i pięć miesięcy sześć dni w tygodniu, po dziesięć godzin dziennie uczył się ślusarskiego fachu. Dzień rozpoczęcia terminu, jak niegdyś określano naukę rzemiosła u majstra, zapisał się w pamięci Gomułki także z tego powodu, że musiał on odtąd zacząć nosić buty. Pierwsze obuwie nie napawało go dumą, były to bowiem typowo robocze chodaki z grubymi podeszwami, do których przybito cholewki z cielęcej skóry. Miał też drugą, porządną parę butów na skórzanych podeszwach, ale zakładał je wyłącznie od święta. Jak wyjaśniał po latach w swoich wspomnieniach: „Ja i ojciec mieliśmy ponadto odzież i bieliznę przeznaczoną do przebierania się w domu po ukończeniu pracy. Odzież i bielizna używane podczas pracy były zabrudzone, zasmarowane, a w zakładzie pracy nie było wówczas warunków na umycie się i przebranie po zakończeniu dnia roboczego lub zmiany roboczej”<sup>22</sup>.

Przed wyjściem do warsztatu Gomułka zakładał zapinaną pod szyję, porządnie wykonaną bluzę i spodnie, które własnoręcznie uszyła mu matka z bardzo sztywnego materiału, przeznaczonego do uszczelniania pras fabrycznych używanych przy produkcji parafiny. Możemy się jedynie domyślać, jak bardzo były niewygodne.

Jan Zygmuntowicz był mistrzem ślusarstwa, od wielu lat prowadzącym warsztat w Krośnie i cieszącym się wielkim poważaniem wśród kolegów po fachu. Przed I wojną światową powodziło mu się bardzo dobrze i stać go było na zatrudnienie przynajmniej dwóch czeladników. Niestety po wojnie, wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, sytuacja uległa drastycznemu pogorszeniu i majster musiał pracować sam, korzystając ze wsparcia trzech uczniów, do których należał też bohater naszej opowieści. Jak się okazuje, Jan Gomułka, podpisując umowę w imieniu swojego niepełnoletniego jeszcze syna, zadbał o to, by Władek jako jedyny z terminujących u Zygmuntowicza otrzymywał za swoją pracę wynagrodzenie. Pozostali pracowali za darmo, ucząc się podstaw zawodu, i dopiero w trzecim roku nauki otrzymywali symboliczną pensję. Tymczasem Władek od początku dostawał dwie korony dziennie, a cały tygodniowy zarobek z dumą oddawał matce. Do domowej kiesy trafiały też napiwki od zadowolonych klientów.

Niewypłacanie wynagrodzenia uczniom wynikało nie tyle ze złej woli Zygmuntowicza czy jego skąpstwa, ile z pogorszenia się sytuacji samego zakładu. Ojciec piątki dzieci musiał się nieźle napracować, by utrzymać swoje miejsce pracy i rodzinę, dlatego też jego zakład nie był typowym warsztatem ślusarskim, ale stanowił połączenie zakładu ślusarskiego z blacharskim, kowalskim i hydraulicznym. Jak twierdzi Gomułka: „W owych czasach, zwłaszcza w małych miasteczkach, takich jak Krosno, nawet usługowy warsztat ślusarski nie mógł normalnie funkcjonować bez wykonywania w nim określonych robót kowalskich. Roboty naprawcze wymagały często spawania złamanych części lub ich dorobienia, co mogło być wykonane tylko na gorąco (aparatu spawalniczego

nie mieliśmy w warsztacie). Nie można np. zrobić jakiegokolwiek żelaznej balustrady balkonu czy schodów bez kucia na gorąco jej elementów. Również niektóre narzędzia używane w warsztacie, takie jak świdry do wiertarki, różne dłuta, noże do tokarki itp., wykonywaliśmy sami. Robota kowalska pochłaniała więc pokaźną część czasu pracy<sup>23</sup>. W warsztacie produkowano też wyroby dla branży pszczelarskiej, jak chociażby mieszki do odstraszenia dymem pszczół mieszkających w ulach czy miodarki służące do oddzielania miodu od plastrów. Zygmuntowicz sam był właścicielem kilkunastu uli, a Gomułka pomagał mu w pasiece, dzięki czemu miał dobre pojęcie o pszczelarstwie i produkcji miodu. Pracując u Zygmuntowicza, nauczył się także hydrauliki, bowiem warsztat zajmował się naprawą i instalacją pomp studziennych oraz naprawami instalacji wodociągowych w domach. Z czasem w związku z gazyfikacją gospodarstw domowych zakres usług zakładu poszerzył się o usługę montażu instalacji gazowych. Gomułka okazał się i w tym zakresie pojętym uczniem. Jak wspominał po latach, nie było to skomplikowane zadanie, zwłaszcza że ówczesne palniki były nader „prymitywne. Jako palnik służyła odpowiednio wykrępowana i podziurkowana rura umieszczona pod płytą kuchenną lub w piecu kaflowym i połączona z przewodem instalacyjnym doprowadzającym gaz<sup>24</sup>.

Wydaje się, iż Zygmuntowicz był bardzo tolerancyjnym człowiekiem. Sam będąc gorącym zwolennikiem Narodowej Demokracji, nie miał nic przeciwko temu, żeby Władysław, który pod wpływem swojego ojca, członka PPS, sympatyzował z socjalistami, pojawiał się na wiecach i pochodach pierwszomajowych. W międzywojennej Polsce 1 maja nie był świętem państwowym, więc Gomułka musiał brać wtedy dzień wolny. Zygmuntowicz nie tylko zgadzał się na to, ale nawet nie potrzącał nic z dniówki swojego lewicującego ucznia.

W czasie kiedy Władysław terminował u ślusarza, sytuacja jego rodziny uległa znacznej poprawie. Na krótko przed zakończeniem wojny jego ojcu udało się wreszcie zdobyć pracę w rafinerii ropy

w Krośnie. Wprawdzie ze względu na stan zdrowia wciąż pracował jako robotnik niewykwalifikowany, ale dzięki warunkom wywalczonym przez związki zawodowe otrzymywał godziwe wynagrodzenie. Nie do przecenienia były także przydziały żywnościowe pochodzące z pomocy amerykańskiej udzielanej Polsce, dźwigającej się po przeszło 100 latach rozbiorów i wyniszczającej wojnie, oraz wspomniane niewielkie kwoty przysyłane przez stryjów Władysława. Z dzisiejszej perspektywy wydają się one śmiesznie niskie, ale w owych czasach wartość dolara była znacznie wyższa niż obecnie. W grudniu 1919 roku za dolara amerykańskiego płacono 120 marek polskich, bo taka waluta obowiązywała w odrodzonym kraju. Pół kilograma chleba kosztowało zaś 3 marki polskie. Drobną pomoc z Ameryki poważnie ratowała więc rodzinny budżet Gomułków.

Po trzech latach nauki Władysław musiał, jak to się wówczas mówiło, wyzwolić się na czeladnika, czyli zdać egzamin zawodowy. Zdobyć tytułu czeladnika oznaczało, że uczeń opanował teoretyczne i praktyczne umiejętności, mógł więc podjąć pracę zarobkową. W ramach egzaminu Gomułka miał wykonać samodzielnie sklepową wagę według odpowiedniego wzorca. Po dwóch tygodniach pracy urządzenie prezentowało się wprawdzie idealnie, ale nie spełniało podstawowego zadania, bowiem nie wskazywało właściwych pomiarów. Jak się potem okazało, twórca nie nastawił prawidłowo gwintowanych regulatorów. Kiedy tylko naprawił swój błąd, waga zadziałała idealnie, w wyniku czego bohater naszej opowieści zdał egzamin na czeladnika. Niestety skomplikowało to jego sytuację, bowiem tego samego dnia został bezrobotnym — Zygmuntowicza nie było stać na zatrudnienie wykwalifikowanego czeladnika. Siedemnastoletni Gomułka musiał bezzwłocznie znaleźć pracę.

# SPIS TREŚCI

Wstęp .....	5
Rozdział 1. Chleb i ziemniaki, czyli galicyjskie dzieciństwo przyszłego genseka .....	13
Rozdział 2. Młody komunista .....	37
Rozdział 3. Miłość i polityka .....	63
Rozdział 4. Trudne wojenne lata .....	103
Rozdział 5. Wymarzona „ludowa” ojczyzna .....	153
Rozdział 6. Upadek niepokornego polityka .....	187
Rozdział 7. Październikowy triumf .....	223
Rozdział 8. Absolutyzm niekoniecznie oświecony, czyli Polska Gomułki .....	255
Rozdział 9. Rok 1970 — czas chwały i klęski .....	333
Przypisy .....	370
Bibliografia .....	386
Netografia .....	392

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68342-03-1